

3000

HARCERZ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ.

Rok III.

24 Marzec 1919 r.

Nr. 12.

Cena 85 fen.

Niejedna nas jeszcze czeka ciężka przeprawa, niejedną jeszcze trudną walkę przebyć musimy. Jestem przekonany, że złączeni i silni jednością wyjdziemy z nich zawsze godni naszej sławnej przeszłości.

(Z rozkazu kom. Piłsudskiego w grudniu 1915 roku).

DO PIŁSUDSKIEGO

(w dniu Imienin).

Naczelniku — Komendancie:

Iż życiem Swym całym, które było i jest ciągłą, nieustanną, a ofiarną służbą Sprawie, dawałeś nam, młodym a zapałym, przykład i wzór promienny do naśladowania i uczyłeś „kochać Polskę nie połową ale całą duszą“.

Iżeś był z Tych, którzy w ciemną, smutną noc narodowej Golgoty i powszechnego zwątpienia krzepią zwątpiałe, budzą senne, a rozpierzchłe wysiłki i porywy serc gorących łączą w karne szeregi bojowników, niezłomnie rzucają twarde żołnierskie hasło „kujcie broń“.

Iżeś był Tym, który pierwszy w naszym pokoleniu — po latach bolesnej niewoli i krwawej męki—wskrzesał on cudny, słoneczny sen o rycerskiej ojców szpadzie i polskim karabinie, a narodowym, zapomnianym chorągwiom przydał nowych laurów bitewnych wawrzyny, znacząc je znowu jak ongiś purpurą młodej, polskiej krwi.

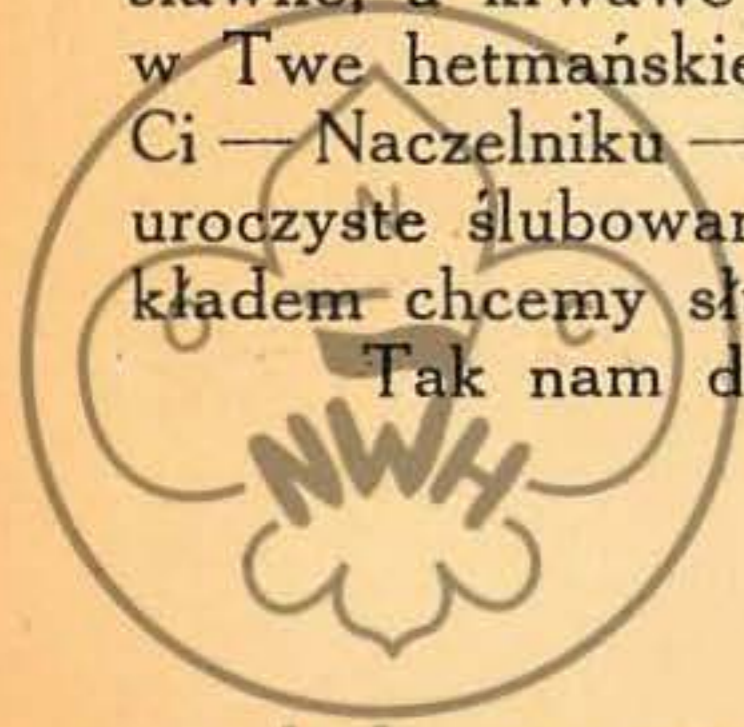
Iżeś naród i kraj cały w rozterce będący mocą Swej miłości rzetelnej i bystrego rozumu, krzepką a pewną ręką z chaosu i bezładu, mimo przeciwności i trudności, mimo burzę i wichury doprowadził do otwartych podwoi sejmowych.

Iżeś zawsze i wszędzie: w cichym dworku litewskim, czy na ławie szkolnej, na przymusowym wygnaniu, czy na bitewnym polu, w murach więziennych Magdeburga, czy na królewskich, warszawskich komnatach—cierpiał, walczył, pracował tylko dla Polski niezależnej i potężnej.

Iżeś był prawdziwym harcerzem z ducha i jednym z Tych nielicznych którzy mogą o sobie śmiało, bez pychy i buty powiedzieć owe wieszczce, natchnione Mickiewicza słowa: „Ja i Ojczyzna to jedno“.

Przeto my, polska młodź harcerska, za Twą pracę szarą, a wytrwałą, za Twe przelatywne, a krwawe boje, za Twą mękę serdeczną i ofiarny trud, gdy naród i Sejm znowu w Twe hetmańskie dłonie jednomyślnie, a ufnie złożył ster narodowej władzy, składamy Ci — Naczelniku — w pamiętnym dniu Twych Imienin hołd głęboki i korny pokłon, oraz uroczyste ślubowanie, iż chcemy iść w Twe dostojne ślady i za Twym chrobrym przykładem chcemy służyć wiernie Polsce.

Tak nam dopomóż Bóg!



archiwum

Poszukiwania wiosny.

Już w końcu lutego zaczęliśmy przygotowania na przyjęcie wiosny. Każda z dziewcząt zrobiła sobie kalendarzyk wiosenny, w którym zapisuje wszystkie przejawy budzącej się wiosny.

A wiosna budzi się nie na żarty! Jeszcze nie widać jej na ulicach w mieście, ale nawet w Łazienkach znajdziecie już wiosnę.

Choćmyż więc jak ten Koszałek-Opalek szukać wiosny w pąkach drzew i wśród zeszłorocznej trawy. Rano po mszy wyruszyliśmy wszystkie w Aleje. Niedziela rano, więc w Alejach niewiele publiczności, a w polu pusto. Przedewszystkiem oglądamy kasztany: mają grube gałązki, a na końcach duże lśniące lepkie pączki; kora też dziwna, jakby połupana w poprzek. Dalej akacje: pączków nie widać jeszcze, ale można je poznać po wiszących strączkach zeszłorocznych i po charakterystycznej, dzielonej podłużnymi przeciągającymi się rowkami, jakby powiązanej korze. Niektóre krzewy zaczynają już wypuszczać drobne listeczki, ale nasze wiadomości z botaniki nie sięgają w dziedzinę zagranicznych odmian, więc wychodzimy z parku w dalszą drogę. W Alejach przedewszystkiem zwraca uwagę na klony, które można poznać po zeszłorocznych owocach, skrzydlakach (t. zw. „noskach“) lub też po wiszących pęczkach uschniętych szypulek (część lodygi, pospolicie zwana ogonkami, na której mieści się kwiat). Lipy jeszcze łatwiej poznać, bo zostały na drzewach kwiaty, a właściwie już owoce lipy z jednym skrzydełkiem i czarną kulka.

Wchodzimy do Łazienek. Tu już pachnie wiosną. Pod drzewami zieleni się gdzieś młoda trawka, odbijająca swą barwą od zeszłorocznej. Pełno nowych, malutkich, zielonych pędów, między którymi poznałyśmy pęd fijołka. Ale prawdziwy tryumf miał nas czekać nad stawem. Mijamy kilka dębów, które najłatwiej poznać, bo zachowują zeschłe liście na zimę, topole, która ma grube gałązki i duże, podłużne rosnące ku górze pączki i dochodzimy do mostku. Koło niego rośnie buk, który rachował jeszcze dużo zeszłorocznych orzeszków, więc dopełniwszy swe zbiory idziemy w stronę łódek. Tam nad stawem zobaczyliśmy pierwsze kwiaty w tym roku, pierwsze zresztą kwiaty, które rozwijają się na wiosnę: kwiaty leszczyny. Leszczyna nie ma nawet jeszcze pączków, ale osypana jest całą żółtymi, długimi baziąmi. Bazie te opadną zresztą niedługo, gdyż leszczyna zakwitła już w końcu lutego.

Ostrożnie zrywamy gałązkę (do zielnika, jedną tylko, więc wolno) i idziemy dalej. Tu koło cieplarni znaleźliśmy drugi kwiat w tym roku: był nim mały niepozorny muchokrzew. Znacie zapewne tę roślinkę, co ma drobne białe kwiateczki, a służy kanarkom na pożywienie. Ostatnią naszą zdobyczą była gałązka

olchy z baziąmi czerwonymi (kwiaty pręcikowe) i brązowymi szyszczkami (kwiaty słupkowe). Tak, z niezliczoną ilością zbiorów i notatek wracaliśmy do domu. Znaleźliśmy wiosnę. Przyszła ona po cichu i rozkwitła nam w białych gwiazdeczkach muchokrzewu i żółtych baziach leszczyny, przyszła do nas wcześniej, zanim świat cały zdążył zgotować jej przyjęcie.

Ale w ten piątek (21 marca) w dniu wiosennego porównania dnia z nocą, gdy wiosna ustali swe panowanie, będzie dla nas wielkie święto. To też już cała drużyna czeka z niecierpliwością niedzieli, bo urządzamy sobie wielkie święto wiosny. Opowiem wam na przyszły raz jak się ta uroczystość odbyła.

Wanda Prażmowska.

□□□□□□□□

„MAŁY BOHATER”.

Staszek—pucybut rozłożył na trotuarze swoje szcztotki oraz pudełko z pastami do obuwia i, w oczekiwaniu pracy i zarobku, zamyslił się głęboko. Miał bo o czym rozmyślać: właśnie wczoraj wieczorem przeczytał ciekawą historję „O Wicku Warszawianku i o jego śmierci“, którą Staszekowi przyniósł do czytania Franek, różnosiciel gazet.

Staszekowi spodobała ona się ogromnie. Przez całą noc nie mógł zasnąć i wciąż marzył o Warszawie, której nie znał, lecz przypuszczał, iż piękną musi być nad wszelkie pojęcie. Usnął dopiero nad ranem, postanowiwszy, iż w najkrótszym czasie pojedzie do Warszawy i, kto wie, może tam już pozo- stanie na zawsze.

Teraz jednak, gdy spojrzał na wyłączone słońcem listopadowym ulicę Lwowa, uczył, że i Lwów jest bardzo piękny i bardzo wspaniały, a nade wszystko uczył, że on, Staszek, kocha to miasto prastare całym sercem i porzucić nie potrafi. Począł tedy żałować, że nie zna książki, w której by Lwów równie ślicznie, jak Warszawa w powiastce o Wicku był opisany.

Nieprzyjemnie mu też trochę było, że bohaterem historyjki jest mały gazeciarka, a nie taki chłopiec, co buty przechodniom czyści. Zdawna bowiem trwały między lwowskimi gazeciarkami i tak zwanymi pucybutami zatargi o pierwszeństwo.

I nawet Franek, z którym się Staszek dość lubi, wręczył Staszekowi książkę o Wicku ze słowami: — Pucybut! masz i czytaj, żebyś wiedział, jakie my gazeciarka, ludzie są i żebyś nas uszanował. Słowa te zadrasnęły ambicję Staszka. Zapra- gnał, żeby ktoś napisał piękną historję o pucybutach. Ale jeszcze bardziej pragnął mieć książkę o Lwowie.

— Jezu mój, — myślał Staszek, rozglądając się po ulicy, — Jezu mój! Już chyba i Warszawę trudno bardziej kochać — takie to godne miasto ten Lwów! Prawdziwe Polskie miasto. Teraz to trochę gorzej wygląda, bo Austryjaki nasze wojska wysłali i same Ukraince po ulicach się włóczą, a człowiek zamiast ludzkich butów, hajdamackie stęporę czyścić musi. To też takie to i czyszczenie Na ola Boga, byle tych parę halerzy zarobić, a z głodu nie zdechnąć. Do zdychania, to teraz racji wielkiej niema; wszystko na świecie pięknie się układa: Prusaki i Austryjaki w skórę tego biorą, a z nimi i ich przyjacioli, hajdamaki, lanie dostaną. Żeby to tylko w tem wysłaniu wojsk naszych jaki zły figiel się nie krył! Po hajdamakach wszystkiego spodziewać się można. Ale niech no jeno spróbują, to i bez wojska regularnego pokaże im się, gdzie raki zimują.

Obawy Staszka nie były płonne — zaraz następnego dnia 11-go listopada Lwów został podstępnie zagarnięty przez Rusinów. Trwoga i rozpacz oładnęły mieszkańcami. Miasto pozbawione wojska i broni nie chciało się jednak zgodzić na hańbiącą niewolę. Pierwsze hasło do okrony dała młodzież, która zebrawszy się, zdobyła broń na Rusinach, poczem zabarykadowała się w gmachu szkoły im. H. Sienkiewicza. Wieść ta rozeszła się między Polakami. Za ich przykładem poczęto odbierać broń Rusinom, zdobywać dom za domem, ulicę za ulicą. W bohaterskiej obronie Lwowa czynny i gorący udział wzięły kobiety, oraz wszyscy młodzi chłopcy zdolni do noszenia broni. A Staszek, dziesięcioletnie zaledwie chłopię, co ma jeszcze nazbyt słabe dłonie, by karabin unieść, Staszek, prawe lwowskie dziecko, cóż ma począć w tych dniach zamętu i przyszłej chwaly?

Czyż ma patrzeć spokojnie, jak to miasto ukochane, rodzone, we krwi własnych obywateli się pławi? Hej! Nie tylko siłą fizyczną świat się trzyma. Ma Staszek rozum i spryt w młodej głowie, ma wielką odwagę i miłość ogromną, dla tego miasta jedyne, krwią zbroczonego tylekroć, dla bohaterów—obronców, dla świętej sprawy ojczyzny.

Wre bój. Pod czarnym skrzydłem nocy
Śmierć, tańcząc, kule miota,
We krwi ginących od przemocy,
Rodzi się wolność złota.

W każdej się czai śmierć ulicy,
W mrok kryje się zdradziecko.

Giną szlachetni wojownicy...
Tej nocy strasznej, po ulicy

Biegł Staszek lwowskie dziecko.

A biegł tak szybko, jak mu tylko małe nogi i dobrze wyladowany plecak zezwalał. Biegł, nie zważając na kule i niebezpieczeństwo. Przekradł się niepostrzeżony między oddziałami wojsk nieprzyjacielskich. Jak cień, jak mysz, jak krasnoludek.

Serce mu tylko żywiej zaczęło bić, gdy spostrzegł, że jest już blisko celu podróży. Na czarnym tle nocy zarysowały się kontury gmachu, od czterdziestu godzin przeszło obleganego przez Rusinów. Szczupła gromadka polskich bohaterów dzielnie wytrzymywała napór hajdamacki. Broni i amunicji posiadali pod dostatkiem. W tych warunkach mogliby wytrzymać choćby dwutygodniowe obleżenie, gdyby nie to, że wróg sroższy, od hajdamaka, zajrzał do zaimportowanej twierdzy. Bohaterowie nasi od chwili zabarykadowania się, nie mieli nic w ustach. Czuli, że sily odmówią wkrótce posłuszeństwa, a nadziei rychłego otrzymania pomocy wojennej nie mieli gdyż ta część miasta jeszcze całkowicie prawie znajdowała się w rękach Rusinów. To też smutek malował się na twarzach dzielnych wojowników, a cisza nocna jedynie słowami komendy i grzmiotem salw przerywana była. Była już noc głęboka i zarówno oblegający, jak oblegani zaprzestali na krótki czas strzelania. W gmachu zapanowała cisza. Myślano o tym, jak długo jeszcze można będzie bronić przed nieprzyjacielem i głodem. W tem zapukano do drzwi:

— Kto idzie?

— Puście to ja Staszek pucybut, Polak, rozległ się dziecinny głos — puście. Ziemiaki przyniosłem.

Wyraz „ziemiaki“ wywołał ogólne poruszenie. Momentalnie odryglowano mały otwór w drzwiach i, przy świetle kieszonkowej elektrycznej latarki, ujrzano drobną postać chłopca dźwigającego wyladowany plecak. Bez dalszych wahań wpuszczono go do pokoju. Stał pod ścianą i począł wyladowywać z worka pieczone kartofle, które wnet rozchwytali wyglodniały żołnierze. A Staszek patrzył, jak się posilają obrońcy miasta i, czuł, że jeszcze nigdy w życiu nie był równie szczęśliwym, jak w tej oto chwili.

— Kto ci rozkazał przynieść te ziemiaki? — spytał go przywódca małej załogi.

— Ktoby miał rozkazywać! — rezolutnie odparł Staszek. Wiedziałem, że tu jedzenia niema, to i przyniosłem.

— A nie bałeś się, że cię Rusini zabiją?

— Raz kozie śmierć — odparł wesoło chłopak.

Od kilku dni nosił Staszek wszelaką strawę walczącym o głódzie i chłodzie, dzielnym obrońcom Lwowa. Przemykał się nocą i dniem pod gradem kul przez nieprzyjacielskie łańcuchy. Serce mu rosło z radości, że miastu rodzinnemu przysłużyć się może. Pracował też z werwą i zaparciem się siebie, dokazując cudów odwagi. Aż oto nastal dzień tryumfu. Z Warszawy nadeszły posiłki i hordy rusińskie zostały wyparte ze Lwowa. Czyż można opisać radość mieszkańców Lwowa? Cieszyli się wszyscy i tylko myśl o poległych mąciła nastrój wesoły.

Franek od paru godzin przebiegał ulicę Lwo-wa, pragnąc odnaleźć Staszka, którego już około dwóch dni nie widział. Dziwiło go niezmiernie, iż w tym dniu radosnym Staszka od rana nie spotkał. Dziwiło go to i niepokoiło. Domyślał się strasznej prawdy i zarazem bał się stwierdzenia swych domysłów.

Ściemniało się już, gdy poszukiwania zawiodły go na jedną z bocznych uliczek przedmieścia, naj-dłużej pozostającego w rękach Rusinów. Czuł, że tu znajdzie Staszka. I rzeczywiście pod podziurawionym przez kule parkanem, Staszek leżał na wznak, ręce miał rozrzucone, a wysypane z rozdartego worka kartofle nurzały się w kałuży krwi. Kula nieprzyja-cielska trafiła małego bohatera w chwili gdy pró-bował przedostać się przez parkan, by zanieść gło-dnym żołnierzom posiłek.

Zginał na posterunku niosąc życie Ojczyźnie, jak żołnierz, jak rycerz.

H. St. K—na.
z—owy.

○○○○○○○○

Z życia skautek i skautów.

Oho! Co to za dziki tytuł—„my tu już skautów nie znamy—są tylko harcerze i harcerki“—krzy-czyście z oburzeniem.

Uspokójcie się! To nie zamach na „harcer-stwo“, ale tylko tytuł mający odpowiadać treści; bo harcerz—to skaut *polski*, każdy zaś inny skaut—to poprostu skaut—i już!

Ale po tem wyjaśnieniu zapewne jeszcze gło-sniej wyrazicie swą wątpliwość: czyżby ten nowy je-gomość, który się nam nawet dotąd nie zaczął przed-stawiać—chciał nam coś pisać i o skautach poza Polską?

„Da się widzieć“!

Chcecie, abym się przedstawił? Zrobione! Jestem najprawdziwszym i jedynie nie podrobionym „Red-aktorem od życia“ z lwowskiego „Skauta“ Roku Pańskiego 1913 i 1914 i z „Harców“ Kijowskich. „Aaa! Ten nas będzie nudził“—wołacie. Dziękuję za owację, postaram się w tym *względnie* zrobić, co będzie można.

Opiszę więc na początek wrażenia warszawskie. Przyjechałem sobie—skąd? Z daleka. Nie bądźcie zanadto ciekawi. Warszawa nocą nie zro-biła na mnie specjalnego wrażenia: stan wojenny, ruchu na ulicach niema, dorożek mało, konie dziwnie sub-telne (owies jak manna z nieba nie spada). Rano budzę się i myślę: czemu to ja się umyję, kiedy wody nie „nalapalem“ w nocy? (Przyjechałem z okolic,

gdzie wodę się „lapie“). Smucę się, ale zbieram całą odwagę i idę do kranu: woda jest!

Wychodzę na ulicę: Przebóg, tramwaj, żywy tramwaj i nawet można nim jechać! Coś dziwnego! Za 30 fen. jadę i jadę bez końca. Wszystko tu dziwnie tanie, po naszych wschodnich cenach.

Jadę—miasto znam mało, ale spytać o jakąś ulicę—boję się. „U nas“ nad Dnieprem łatwo mog-łeś usłyszeć w odpowiedzi rodowód swego prapra-dziadka, nie bardzo pochlebny. Wreszcie pytam nieśmiało konduktora: Najuprzejmiej proszę pana do-brodziejcie o laskawe poinformowanie mnie jak za-jechać do druha Semafora czyli Suszkojada? Na takie inteligentne zapytanie konduktor trochę wy-trzeszczył oczy, ale nie o moich rodzicach, ani na-wet o ciotce nieprzyzwoitego nie powiedział! Dziwne! „Przy jakiej ulicy pan Semafor mieszka?“ „Natural-nie“—odpowiadam—„przy Szopena“. Krótko, ale dokładnie objaśnił mi konduktor—dojechałem szczęśliwie i już teraz zawsze pytam się bez obawy.

„Powiedz, kochany Janku czy tu niema har-cerzy w Warszawie, czy wszyscy od lat 9 zmobili-zowani w baonie?“ „Gdzież tam, czy zwarzowałeś, tu jest 40 drużyn męskich i 20 żeńskich“. „Lazilem pół dnia po mieście i ani jednego nie zobaczyłem, może to cała załoga harcerska Warszawy bawi się dzisiaj w przekradankę z przebieraniem się?“ „Nie o tem nie slyszalem“—odpowiada Semafor—ale czemu tak sądzisz? „Noszę na czapkę lilję wielkości pół metra, a nikt z chłopców nie spyta się, co to takiego, o salutowaniu ani mowy niema—ja zaś sa-lutować pierwszy nie mogę—bo nie spotkałem jeszcze chłopca z odznaką“.

„Przesadzasz“—odpowiada mój przyjaciel „są harcerze i noszą odznaki i salutują tylko ty ślepy jesteś“. Chwała Bogu! Wolę być ślepym, niż prze-konać się, że dobre zwyczaje harcerskie zanikają.

„Wszystko to pięknie“—słyszę z ust waszych; „ale co z tymi zagranicznymi skautami?“

Przerwaliście mi tok myśli! Chciałem Wam jeszcze parę przyjemnych rzeczy powiedzieć, jeżeli jednak nie chcecie słuchać, powiem o rewji *skau-tów rumuńskich w Kiszyniowie*. Oto, co pisze o tem w Kronice Kiszyniowskiej Dr. H.

„O 12 ma być jakaś uroczystość w serafimow-skim domu. Pędzimy do izby, zbiera się „paczka“—wszyscy zaciekawieni, podnieceni, upał nie zatrważa nikogo. Ruszamy do soboru. Tam defilada, już wyszli, moldawscy skauci obok. Następują powita-nia, naturalnie w języku rumuńskim—nikt z nas nic nie rozumie. Muzyka gra hymn, skauci wnoszą laski ukosem ku górze. Znowu przemówienie—krzyczą „hurrra“—i ruszają na plac rewji za nimi i my.

Skauci mają defilować przed jenerałem gubernatorem Besarabji, Wojtajanu. Skręcamy ku grupie wojskowych; miejsca wszędzie zajęte, trudno prze-cisnąć się. Wtem jeden z oficerów otaczających Woj-

tajanu zwraca się do jednej z nas: „Poftim domi-szora“. Tłum się usuwa, a dla nas szykują wspa-niale miejsce. Druhowie dowodzą, że oficer był wysłany przez Wojtajanu, którego zaciekawila nasza umundurowana grupa.

„Czekamy chwilę: przechodzą; chód brzydki, sztywny, kolana unoszą w górę; laski pod lewem ramieniem, prawa ręka przy kapeluszu, salutują (ukłon ich wojskowy, rumuński). Zastępowi głowy zwrócone mają ku starszyźnie. Wyglądają marnie: spodnie krótkie szare lub khaki, koszulki gimna-styczne trykotowe białe w czarne paski, zastępowi mają pasy welniane czerwone, drużynowi zielone, a straż przy sztandarze czerwone. Robią wrażenie cyr-kowców, tygrysów, ale nie skautów. Jedynie bardzo zgrabne laski oraz ciemne filcowe kapelusze podo-bają się nam.

„Do sali dostaliśmy się z trudem; ciasno i duszno na parterze, idzie-my więc na galerję. Wchodzą na estradę. Chór śpiewa hymn skau-tów, następują przemó-wienia, deklamacje, ktoś wypowiada prawo skau-towe (w Rumunji praw 12), jeden śpiewa solo, inny popisuje się grą na fujarce, gra jakąś smętną melodję, potem moldaw-ską „dojnę“. To robi wra-żenie. Ostatnia pieśń chó-ralna brzmi dotąd w uszach.

Wreszcie koniec. Wychodzimy, przygląda-jąc się zblizka druhom z Rumunji, którzy idą na obiad. Spieszmy i my do domu“.

Naczelnictwo Kijowskie nawiązało z skautami rumuńskimi bezpośrednio stosunki. Początkowo władze rumuńskie dość podejrzliwie patrzyły na nasz ruch, obawiając się go ze względów politycznych (Rosja-nom prawie uniemożliwiono organizowanie skautingu w Besarabji). Dopiero rozmowa druha ks. Kazi-mierza Lutosławskiego i p. Murgocym, kierującym skautami rumuńskimi w Besarabji wpłynęła na zmianę poglądów Rumunów, którzy do tego czasu byli zdania, że nasi harcerze powinni należeć do rumuńskiej organizacji. Książd Lutosławski umieścił w pis-mach rumuńskich dłuższy artykuł, informujący o har-cerstwie, a N. H. w Kijowie wysłało do p. Murgoc-ego obszerny list, po polsku i rumuńsku, w którym proponowało stałą wymianę korespondencji i wydaw-

nictw oraz zapraszało kilku skautów rumuńskich do naszego obozu letniego 1919 r.

Zamieszki bolszewickie na razie utrudniły pod-trzymywanie stosunków z Rumunami, ale o *naszych* harcerzach i harcerkach w Kiszyniowie mam takie wiadomości od jednej z druhen:

„Po moim wyjeździe było jeszcze sporo zajęcia w naszym ogrodzie—to też druhen i druhowie spotykali się dość często przy zbieraniu pomidorów, kopaniu kartofli.

Izba została przeniesiona z budynku szkolnego do oficynki, przeznaczono na nią pokoik obok miesz-kania stróża. Pięknie przystrojona, „cieplutko w niej i miłutko“—pisze jeden z druhow.

Rumuńscy skauci, którzy proponowali nam przyłączenie się do ich organizacji, przestali nas odwiedzać. Starsi nasi druhowie przeważnie wy-jechali, pozostali wilczę-ta, a na tych Rumunom nie zależy, chodzi im głównie o materiał na żołnierza. Drużyny ru-muńskie są tak przygo-towane, aby w każdej chwili mogły zastąpić od-dział wojska.

Zbiórki odbywają się w niedziele i święta.

Rano—zbiórka mę-skiej drużyny. właściwie obecnie—zastępu, liczą-cego 10 chłopców. Te-renoznawstwo, tropienie zajmuje nadzwyczaj chłop-ców—okazują wielkie za-interesowanie i ucze-szczają najregularniej.

Popołudniu—o 4-ej zbierają się chłopcy i dziewczęta. D-h Wacek

miewa gawędę, poczem następują śpiewy, musztra i gry w sali im. Mickiewicza.

Fundusze K. M. zasilone dochodami i Kom. Dost. i ogrodu wystarczają na potrzeby drużyn, więc druhen i druhowie pieniądze zebrane z urzą-dzonego przez wieczoru przeznaczyci dla żoł-nierzy z oddz. Żeligowskiego, byłych jeńców Pe-tlury, na powrót do kraju. Dopomagali również przy urządzeniu gospody dla tych biedaków.

Ci co tam zostali, przeważnie stali mieszkańcy Kiszyniowa, którzy Polski nie widzieli *nigdy* wszyscy jednakże tęsknią do kraju i marzą o wielkiej wy-cieczce—do Polski“.

Tyle o skautach rumuńskich.



Kierownictwo kursu instruktorskiego w „Rzuć Smutek“ pod Kijowem. Od lewej strony stoją: D-h wie K. Nowak, St. Sedlaczek, T. Sopoćko, T. Maresz, W. Nekrasz. Siedzą: A. Pawełek, J. Grabowski, W. Rewieńska, dr. Pieńkowski, H. Glass. Ogólną grupę uczestników kursu podawaliśmy w numerze poprzednim.

Jeszcze parę słów o *Francuzach*. W Paryżu bawi obecnie jeden z naszych instruktorów (w Kongresie jeszcze udziału nie bierze)—spodziewamy się od niego obszerniejszych wiadomości. Tymczasem dowiedźcie się, że skauci francuscy defilowali przed prezydentem ministrów Clemenceau i wręczyli mu nominację na szefa wszystkich drużyn skautowych we Francji. Młodzież francuska odnosi się nietylko z szacunkiem i czcią, ale z prawdziwą miłością do tego starego „tygrysa”—jak nazywają francuzi swego premiera,—który choć sędziwy wiekiem, duchem młody daje przykład niesłychanej energii i wytrwałości.

— Niewiele niestety powiedziałem Wam, gdyż gaduła jestem rozwlekły. Ośmielam się jeszcze prosić: a możebyście tak co napisały i napisali do mnie. Bardzo lubię otrzymywać listy! Adresujcie tylko dobrze i podkreślajcie dla Redaktora od życia.

□□□□□□□□

HACERZ NIE ZAPOMINA JĘZYKA.

(prawo 11-te)

W lesie. Robota wre. Nadchodzi leśniczy. Strzelba na ramieniu.

— Co to panowie tu robią?
— My? Jak pan widzi: siedzimy, gotujemy, rozbijamy namiot, robimy szalas — o! niedługo już będzie skończony.

— No, tak! Ja to widzę. Ale jakim prawem?
— Przecież posiadamy pańskie pozwolenie.
— Moje?
— Nieinaczej.

— Ja panom żadnego nie dawałem pozwolenia.
— Nam bezpośrednio nie — to prawda! Przed tygodniem tutaj, w tym samym miejscu, obozował oddział skautów. Byli u Szanownego Pana — Pan im udzielił pozwolenia na rozbicie obozu. Myśmy też skauci — tamtych bracia. Przypuszczam, że i my korzystać możemy z łaskawości Szanownego Pana, tymbardziej, że Sz. Pan wyraźnie wtedy oznajmił, że dla skautów las stoi zawsze otworem, że do skautów pan czuje odrobinę sympatii, z czego się bardzo cieszymy.

— Ale z jakiej racji ja mam wierzyć, że panowie skauci?

— To bardzo proste. Czy pan zna prawo skautowe?

— Nie.
— Szkoda! 1 punkt tego prawa głosi, iż skaut nigdy nie kłamie, więc Szanowny Pan z zamkniętymi oczyma wierzyć może, iż jesteśmy skauci.

— Dobrze bardzo pięknie — począł bąkać. Jakis usłutek rzadki rozsiadł się na jego twarzy.

— Ale w jaki sposób panowie możecie mi dowieść, iż jesteście skautami?

— Panie! Więc panu chodzi w dalszym ciągu o to, czy jesteśmy skautami. Spójrz pan! Namioty, szalas, toporki, kotły, linki, latarka, laski etc. etc. Czy to mało?

— Panie, to nie wszystko!

— Naturalnie, że nie wszystko. W izbie skautowej pozostała większa część rynsztunku (po skautowemu to wszystko, co pan widzi, zowie się rynsztunkiem).

— Ależ, panie. Czy tylko skauci chodzą z namiotami, toporkami i t. d. Wczoraj banda cygańska obozowała tu w lesie. Widziałem u nich takie same toporki, linki, namioty...

Podniosłem się. Mina leśniczego niby poważna ale widać, że śmieje się w duchu. Dostrzegł moje poruszenie:

— Może pan nie wierzy?

Wierzę! — przerwałem — ale naprawdę pan widział namioty, toporki, liny?

— Tak, nol! Na własne oczy.

— Uważa pan — dwa temu skradziono nam z izby część rynsztunku. Szlachetny złodziej! Część nam zostawił.

— Panie! Czy pan nie naciąga?

— Co znowu! Przecież I-szy punkt...

— Niech pan nie kończy. Ja z panem do ladu nie dojdę.

Tylko panowie lasu nie podpalić!

Dowidzenia!

Odechodzi... Dobra nasza.

— Chłopcy! Niech żyje pan leśniczy!

— Niech żyje! niech żyje! — zaryczała wiecznie zadowolona tłuszcza harcercska.

Anek z Pabjanic.

Pabjanice, 22/II, 1919 r.



Ci co odeszli na wieczną wartę

dnia 15 lutego b. r. zmarł w Sokolowie na Podlasiu

ś. p.

Jan Wudarski

plutonowy, założyciel 2 Podlaskiej Dr. H. im. Tadeusza Kościuszki — ostatnio pisarz w wojsku w Sokolowie. Dowódcę, który poniósł tyle pracy i trudu dla nas, żegna drużyna hasłem: „Czuwamy!”



Druh Stanisław Sedlaczek organizator i naczelnik harcerstwa w b. państwie rosyjskiem autor „Szkoły harcerza” i redaktor „Harców” Kijowskich.

W jaki sposób najlepiej wykorzystać czas?

U nas heroizmem jest dopełnienie wszystkich obowiązków, pomimo wszystkich przeszkód. (Mickiewicz).

„Dobrzeby było zrobić to i to, ale niema czasu” — słyzy się na każdym kroku. Odpowiedź „nie mam czasu” uważa się zawsze za najprostsze rozwiązanie kwestji. W istocie jednak świadczy ona tylko o braku woli i o lenistwie. Ludzie, którzy na nic czasu nie mają nie są zdolni do najmniejszego wysiłku. A czyż wy chcecie się do takich ludzi zaliczać?

Napewno nie. Czas na wszystko znaleźć można, a co ważniejsze, to że przybywa go w miarę wzrastania ilości zajęć. Może nie wierzycie? Spróbujcie tylko zastosować się do podanego sposobu, a przekonacie się napewno.

Sposób to bardzo prosty; trzeba się nauczyć trzech rzeczy: 1. Nie robić nic połowicznie. 2. Umiejętnie rozłożyć sobie czas. 3. Nie marnować drobnych ulamków czasu.

A więc co do połowiczności. Unikajmy przeczucia się od jednej rzeczy do drugiej, niekończenia jednych, zaczynania innych. Nie można dwóch

rzeczy robić jednocześnie, bo przez to rozpraszamy uwagę i tracimy znacznie więcej czasu, a wykonywamy obie roboty niedokładnie. Stare polskie przysłowie radzi, żeby „dwuch srok za ogon nie trzymać”.

Zapewne — powiecie na to — dobrze to w teorii, ale w praktyce? Wszak mamy na głowie sprawy harcercskie, szkolne, lekcje do odrabiania i mnóstwo innych zajęć. Jak temu zaradzić?

Trudne to rzeczywiście, ale możliwe. Zróbcie w następujący sposób: wypiszcie sobie wszystko, co macie do zrobienia, oznaczcie termin na kiedy każdą rzecz macie skończyć i potem, kierując się pilnością owych robót, rozłóżcie je na kilka dni.

Postarajcie się naturalnie robić to w ten sposób, żeby nową robotę zaczynać dopiero po ukończeniu poprzedniej. Jeśli macie jednak pracę, której nie można wykonać od razu, to przeznaczajcie na nią codziennie pewien czas.

W niedzielę, przypuszczam, wypisujecie sobie wszystko, co mam do zrobienia i rzeczy te numerujecie np.:

1. Napisanie referatu — na piątek 23 b. m.
2. Odbicie fotografii — na sobotę 24 b. m.
3. Ułożenie planu pracy — na wtorek 20 b. m.

i t. d. Następnie obliczam czas wolny w ciągu tygodnia i zależnie od tego przeznaczam na każdy dzień odpowiednią robotę. Otrzymuję taką tabelkę (Numery według tabelki poprzedniej):

Poniedziałek — 3, 4,	Piątek — 2, 5, 8, 10
Wtorek — 6, 7, 11,	Sobota — 8, 9,
Środa — 7, 2, 11,	Niedziela — 12,
Czwartek — 2, 1, 5.	

Widzicie więc od razu, że robotę, rozkładam na dni idące po sobie z rzędu, aby mieć jaknajmniej prac porozpoczynanych na głowie. Kiedy będziemy mieli pracę w ten sposób podzieloną, nie będziemy już robić dwóch rzeczy jednocześnie i unikniemy połowiczności pracy.

Ale to dopiero spełnienie pierwszego warunku. Trzeba jeszcze umieć rozłożyć pracę dzienną na godziny. Obliczamy ile czasu potrzeba na każdą czynność i układamy ich porządek. Otrzymuję nową tabelkę:

Wtorek: do zrobienia — 6, 7, 11
godz. 8 r. — 3 pp. — szkoła i obiad
godz. 3 — 3½ pp. — 7
godz. 3½ — 5½ pp. — odrabianie lekcji
godz. 5½ — 7½ pp. — 11
godz. 7½ — 8 wiecz. — kolacja.

Porządek tych czynności nie powinien być przypadkowy, kierujcie się ich rodzajem; a więc naprzód napiszcie wypracowanie, potem czytajcie książkę. Najpierwsze zasady przytym są: po obiedzie przez pół godziny odpocznijcie umysłowo, potem najlepiej zabierzcie się do lekcji.

Często jednak pod wpływem różnych okoliczności, czy też poprostu własnego nastroju zmienicie ułożony porządek, ale to nie gra roli. Gorzej by było, gdyby jakaś nieprzewidziana okoliczność zmusiła was do odstąpienia od planu i zostalibyście wieczorem z niewykonaną robotą. Żeby temu zapobiec, zostawiajcie jaką godzinę lub dwie czasu wolnego, który zawsze będzie łatwo zapelnąć.

Zastosujcie tylko ten sposób, a zobaczycie, ile czasu zyskacie i jak wyrobicie w sobie systematyczność i silną wolę. Tylko, aby móc się do tego planu zastosować, trzeba się nauczyć korzystania z chwil wolnych, z najdrobniejszych ulamków dnia.

Napewno wielu z was odpowie, że nie marnujecie czasu. Owszem — marnujecie, mogę wam za to zaręczyć, tylko to weszło w nałóg i nie czujecie tego, bo szlusznie mówi Johnson, że „więzy przyzwyczajenia są tak lekkie, że ich nie czujemy, póki nie staną się tak ciężkie, że się otrząsnąć z nich nie można“. Strzeżcie się, aby przyzwyczajenie marnowania czasu nie zaciężyło wam! Bo czyż przez leżenie w łóżku po obudzeniu, przez wyczekiwanie na obiad, rozmyślanie do jakiej roboty naprzód się wziąć i t. p. nie marnuje się czasu?

Pewien autor amerykański poświęcił swej żonie książkę, którą napisał w chwilach czekania na obiad; inny znów nauczył się greckiego języka, chodząc do kancelarii adwokata i wracając do domu.

Nauczmy się i my tego! Nauczmy się wypełniać pracą każde 5 minut, bo wtenczas tylko każdy dzień będzie dla nas nową jasną kartą życia. Ale trochę czasu trzeba poświęcać na rozmyślania, nie będą to chwile stracone. Człowiek nie może być maszynką i prędko wyczerpalby się jego zasób energii, gdyby nie miał czasu na myślenie. Felsham mówi: „To co niektórzy nazywają lenistwem, jest najslodsza częścią mego życia;—są to moje myśli“.

Każdy człowiek musi żyć swym życiem wewnętrznym, musi poświęcać chwile na rozmyślania; pamiętajcie jednak, aby te chwile nie spowodowały rozleniwienia się, zabierajcie się po nich z większym zapalem do pracy, biorąc jako hasło dnia słowa Goethego: „Czyn codzienną twą najbliższą powinnością“.

Wanda Prażmowska.

□□□□□□□□

Odpowiedzi Redakcji.

Druhowi Olbromskiemu. Wiersz „Czeremhy“ bardzo dobry, ale sądzimy, że będzie właściwym dla „Harcymistrza“, któremu go prześlemy. Czekamy dokończenia listów, gdyż bez całości nie zaczniemy drukować.

□□□□□□□□

Z życia drużyn.

Przed paru dniami wysłuchałyśmy ciekawego sprawozdania dh-ny M. Zdobnickiej, członka Rady Instruktorskiej we Lwowie o pracy harcerskiej podczas oblężenia Lwowa. Tak rzadko dochodzą nas wieści o życiu innych środowisk, a takie się chciało rzuć to tętno bicia gorących serc harcerskich, takby się chciało wiedzieć, że nas jest gromada idąca zwartemi szeregami do jednego wspólnego celu.

Podjęła nas 17-ta drużyna rzemieślnicza w swojej trochę ciemnej, ale gościnnej izbie harcerskiej. Zbiegły się kierowniczkę i zastępowe, bo każda chciała coś posłyszeć o trudach i pracy naszych dzielnych harcerzek ze Lwowa. Trwożne chwile przeżywała nasza brać skautowa, ale sprawiła się dobrze zyskując sobie wszędzie uznanie i pochwałę.

W chwili gdy cały Lwów przygotowywał się jeszcze do walki, żeńska komenda harcerska kompletowała dziewczęta obeznane ze służbą samarytańską. Nie było już czasu na urządzenie dłuższego kursu, więc uzupełniano tylko wiadomości poszczególnych harcerzek, udzielano im ostatnich informacji. O pracy drużynami nie mogło być mowy. W chwili gdy zagrzmiała pobudka do boju każda z dziewcząt poszła na służbę w zależności od swego wyrobienia fizycznego i harcerskiego. A więc jedne jako kurjerki przносиły listy, rozkazy, biuletyny, wiadomości o rodzinach, rozdzielonych przez front, przechodzący środkiem miasta; inne z bronią w rękę szły obok żołnierza polskiego spełnić swój obowiązek obywatelski, a może zrealizować marzenia o wojence, które się czasem i w głowie dziewczęcej roją. Większość pełniła służbę samarytańską lub pracowała przy intendaturze. Na tym posterunku w szczególności zyskały harcerki uznanie władz wojskowych. Często zwracano się do komendy lwowskiej z prośbą o przysłanie dziewcząt na rozmaite odpowiedzialne stanowiska. Dość liczne zastępy opiekowały się dziećmi osieroconymi i dziećmi żołnierzy w ochronkach i przytułkach. Poza to widzimy harcerki jeszcze na jednej placówce, a mianowicie w milicji obywatelskiej. Te ostatnie pełnią służbę w dzień i w nocy z karabinem w rękę, strzegąc mienia państwowego i mienie spokojnych obywateli państwa. Jedna z druhen z szeregu milicjantek przyjechała łącznie z dh-ną Zdobnicką do Warszawy. Żałuję bardzo że nie mogła być obecną na zbiórze szarych naszych drużyn. Sądzę że jej obecność spotęgowałaby znacznie wrażenie wywołane opowiadaniem dh-ny komendantki. W tej 15 letniej wątlej dziewczynie jest jakaś siła i równowaga wewnętrzna, jest spokój i pewność siebie, cechujące człowieka, który spełnił swój obowiązek.

Gdy jedna z druhen spytała ją: „Cóż-wy umiecie strzelać z karabinu“. — „A jakże, druhenno, nas uczyli i z rosyjskiego i niemieckiego i austrijackiego“. Gdy patrzymy na nią nieopisaną radość rozpięła piersi i na pełnia duszę, bo widać że słowa pieśni harcerskiej: „Na Jej zew w bój czy trud — pójdzie rad harcerzy polskich ród“ nie są czcym i pustym wyrazem.

Redaktor Alojzy Pawełek.

Druk. Jana Buriana, Warszawa Mazowiecka 11.

Wydawnictwo Naczelnego Inspektoratu.

Klische „Helios“ Warecka 12.



archiwum